WYCIECZKA

DO OBOZU DON KARLOSA.

(Ciąg dalszy).

Wyjechałem więc z Bayonny we czwartek 30go września około południa koleją żelazną ku granicy hiszpańskiej. Towarzysz mój któremu mię pan S. polecił, p. Unzetta, przystojny Hiszpan w sile wieku, wysokiego wzrostu, z ciemnym bardzo obfitym zarostem brody strzyżonej na hiszpański sposób, dobrych i spokojnych form towarzyskich, co się niezbyt często między Hiszpanami zdarza, od pierwszego wejrzenia wzbudzał we mnie zupełne zaufanie. Uprzejmy ale nie na francuzki wielomowny sposób, gdy mu dziękowałem, że mię był łaskaw przyjąć za swego towarzysza podróży, nic nie odpowiadał, tylko skinieniem głowy i uśmiechem dawał do zrozumienia, że zrobił rzecz zupełnie naturalną i zwyczajną, o której nawet mówić nie warto, i zaraz wtajemniczył mię w kierunek i ostateczny kres naszej wspólnej marszruty.

-- Za pół godziny, będziemy w St. Jean de Luz, mówił siedząc vis a vis mnie w wagonie, ztamtąd piechotą przejdziemy granicę i zdążymy do Very, naszego najbliższego miasta przy granicy; jutro zaś skoro świt pojedziemy dalej przez góry konno i na wieczór będziemy w Tolosie.

— A więc w Tolosie jest teraz kwatera Don Karlosa?

O nie! odpowiedział, Tolosa jest wprawdzie jakby naszą stolicą, lecz król obecnie rezyduje w Estelli, dokąd z Tolosy jest jeszcze cały dzień jazdy powozem. Ja panu dalej jak do Tolosy służyć nie mogę, gdyż muszę tam się zatrzymać i zboczyć w całkiem przeciwną stronę do Aspeytii, gdzie mamy gisernią armat, — warto żebyś i pan tam wstąpił jadąc z powrotem. Teraz zaś niech już pan wprost zmierza do Estelli, dokąd mu z Tolosy hrabia El Pinar, do którego pan masz od p. S. list polecający, resztę drogi najlepiej ułatwi.

W dalszej rozmowie z p. Unzettą dowiedziałem się, iż choć ma rangę wojskową i jest żołnierzem jak każdy obywatel Baskich prowincyj, jest on teraz raczej agentem dyplomatycznym Don Karlosa i nie pełni wojskowej służby. Wszystko to mówił do mnie p. Unzetta bardzo po cichu nachylony ku mnie, gdyż w tem samem coupé siedział znany mi z Biarrits koczujący artysta malarz, któremu nie najlepiej z oczu patrzało, wyglądał na niemieckiego żyda. Miał on całą paczkę swych arcydzieł pod pachą, i wkrótce wmięszał się do naszej rozmowy:

— Panowie do Hiszpanii.

— Do Hiszpanii jedziemy odpowiedział mój towarzysz.

— Ja także tam zmierzam szukać nowych tematów do obrazów, w Biarrits niema już co robić, a i o sprzedaż coraz trudniej, bo się goście rozjeżdżają, oto co mi się zostało.... i tu rozwinął paczkę i zaczął nam pokazywać swoje obrazki, w istocie nieźle olejno malowane widoki znanych mi dobrze nadmorskich krajobrazów z Biarrits i z Hiszpańskich wybrzeżów, na których dla efektu jako sztafaże porobił obozujących w górach lub atakujących forty Karlistów w bandyckich strojach. Śmiał się z tego mój towarzysz winszując artyście talentu a zarazem i tego że jedzie do Hiszpanii, bo się tamże będzie mógł naocznie przekonać, iż Karliści trochę inaczej są umundurowani. Mnie te obrazki wielką sprawiały przyjemność; te co przedstawiały widoki z Biarrits żywo mnie tam przenosiły, i pozwalały mi żegnać się z miłemi miejscami, te zaś co miały przedstawiać Hiszpanią bawiły mnie tamże właśnie jadącego, jakby owe reklamowe szyldy wywieszone u wejścia budy z Panoramą lub Menażeryą, zapowiadające cuda jakie wewnątrz są do widzenia.

Zaledwie ochłonąłem z wielkiego pośpiechu, z jakim wyjeżdżałem z Bayonny, już trzeba było opuścić wagon, pożegnać się z lokomotywą, bo już od St. Jean de Luz nie żelazną koleją miały się toczyć dalej koła naszych losów. Tak więc z najszybszej jazdy zostaliśmy odrazu ograniczeni na najpierwotniejszy sposób wojażowania, na własne nogi. Pociąg poszedł dalej, lecz i on już nie odległą miał przed sobą metę, bo tylko do Hendaye idzie teraz kolej, urywa się na francuzkiej granicy, nad brzegiem Bidassoy, most zamknięty, Hiszpania odciętą jest od Europy. Dzisiaj kiedy już szyny żelazne zniosły Alpy, Apeniny, a z wiosną zniosą do reszty Karpaty, dzisiaj nie można wcale powiedzieć: „*niema Pyreneów!*“.... owszem są i bardziej niż kiedykolwiek podróżnym dają się we znaki.

W St. Jean de Luz zastaliśmy ruch niezwykły, nad portem i w mieście, właśnie wylądował statek ze San Sebastian, gdzie tego dnia był popłoch wielki, gdyż przeszłej nocy Karliści rozpoczęli bombardowanie tej fortecy, i kilkadziesiąt bomb do miasta rzucono. Wystraszeni mieszkańcy, ci co chcieli ratować się ucieczką, nie znalazłszy w porcie San Sebastian żadnego okrętu, który by ich chciał przetransportować do Francyi, wtłoczyli się siłą mocą na największy statek kupiecki jaki przypadkowo tam się znajdował, i niewiem już czy prośbą czy groźbą czy wielką zapłatą, zmusili właściciela żeby ich przewiózł do St. Jean de Luz. Trafiliśmy tam właśnie na tę chwilę, kiedy większa część nowych przybyszów już się rozlokowała po mieście, inni szukali pomieszczenia, a inni znowu czekali na to samo pilnując swoich kufrów i bagaży na terasie portowej.

Nie zabawiliśmy w St. Jean de Luz dłużej jak godzinę, mój towarzysz najął osła z poganiaczem, małym baskiem, włożyliśmy na niego, t. j. na osła, nasze bagaże, i około drugiej po południu puściliśmy się w drogę nie troszcząc się już więcej o nasze rzeczy, osła i Baska, który wiedział doskonale gdzie za nami podążyć.

Teraz dopiero rozpoczęła się naprawdę moja wyprawa do Hiszpanii przez Pireney, a rozpoczęła się podobnie jak wielka część nudnych romansów Walterscotta, w których dwaj podróżni pieszo idą a idą przez parę pierwszych rozdziałów,

i dojść nie mogą tam gdzie dojść mają — tak i my idąc prawie ciągle pod górę, w wąwozie lasem, po kamienistej ścieżce nad spadającym potokiem, który często trzeba było przeskakiwać, byliśmy ciągle jeszcze daleko od Very. Nad granicą zatrzymaliśmy się chwilę na francuzkiej komorze w Ollet, rzuciłem pożegnawcze spojrzenie na Francyą, która ztąd u wrót ponurych Pyreneów dziwnie pięknie mi się uśmiechała zarumieniona, bo właśnie słońce różowem światłem ziemię żegnało.

— Jeszcze za dnia weszliśmy do królestwa Nawarry, dwa proste kamienie po obu brzegach spadającego z góry potoka, oto czem granica była naznaczona, tu już jest ona w rękach Karlistów, nie tak jak nad Bidassoą koło Irun, Fuentarabii w miejscach które poprzednio zwiedzałem; Behobie jest ostatnim punktem nadgranicznym obsadzonym przez Alfonsistów dalej na wschód przeszło dwadzieścia mil granicy trzymają Karliści, i karlistowskie są tam nadgraniczne komory i straże; my przechodząc granicę mało uczęszczaną ścieżką nie spotkaliśmy po drodze żadnej.

Już prawie zmrok zapadał, gdy wreszcie wyszliśmy na szczyt pierwszej góry na Hiszpańskiem terytoryum, i odsłonił nam się piewrszy wgłąb Hiszpanii widok: Nic tylko góry i góry,.... jak daleko okiem sięgnąć można było, szpiczaste stożkowate, przepaściste, nagie, skaliste u szczytu, niepoprzerywane żadnemi większemi dolinami u spodu, ani malowniczo ugrupowane, ani łańcuchami w kondygnacyach się piętrzące, tylko jedna koło drugiej jak najbliżej poustawione bez ładu i składu: słowem ciżba gór nieprzeliczona, oto jak mi się z owego miejsca przedstawiła Hiszpania. Panorama wcale nie urocze, niespokojne, dzikie, zwłaszcza wieczór tuż po zachodzie słońca, kiedy ciemne już gór szczyty na tle jasnego jeszcze nieba ponure tworzą sylwetki, w dziwacznych rysując się profilach. Głęboko w dole u stóp góry pod nami bieliło się kilka domów, w których z okien błyszczały już światełka.

To Vera! zawołał mój towarzysz. Choć się szło ciągłe na dół, nie można było bardzo pospieszyć, bo ścieżka była nadto spadzista i kamienie z pod nóg się usuwały, a dotego jeszcze wkrótce zupełnie się zciemniło. Dopiero więc po

ósmej wieczór weszliśmy na główną, długą ulicę upragnionej Very, spotykając po drodze wszędzie dużo żołnierzy, to kompaniami maszerujących, to swobodnie spacerujących po dwóch po trzech razem, wszyscy prawie w sieraczkowych długich płaszczach, w czerwonych baskich beretach na głowie, a w kamaszach i białych espadrilach na nogach. Witał i podzrawiał ich mój towarzysz z widoczną radością, wreszcie jednego z nich zaczepił, młodego, zaledwie 18to letniego chłopca pytając się go:

Z którego wy batalionu?

Z jedynastego batalionu Nawarezów odpowiedział zagadnięty salutując.

Zapytałem zaraz pana Unzetty, ile ludziby taki batalion mógł liczyć, a gdy mi tenże powiedział że karlistowskie bataliony mają w przecięciu po 800 żołnierzy i że samych nawarskich batalionów jest dwanaście, zaraz nabrałem trochę lepszego wyobrażenia o siłach Don Karlosa, zwłaszcza że wojsko które spotykałem było dobrze ubrane, i co do umundurowania w niczem nie ustępowało temu, które widziałem niedawno w Irun i Fuentarabii.

Dochodząc już do oberży w której miał być nasz nocleg, spotkaliśmy dwóch oficerów w ciemnych mundurach i także w czerwonych beretach, jeden z nich rzucił się na szyję memu towarzyszowi, i zaczęli się oba witać najserdeczniej poczem nastąpiła żywa rozmowa, której niestety już nic nie rozumiałem. Jak mi potem powiedział p. Unzetta, był to półkownik od artyleryi wychowanek najlepszej hiszpańskiej szkoły artylerzystów w Segowii, z której bardzo wielu zdatnych oficerów wstąpiło do armii Don Karlosa, i dlatego artylerya jest w niej najlepszą cząstką. Ten którego spotkaliśmy ma być bardzo zdolny, stoi on w Verze na czele głównej fabryki bomb i granatów, gdzie tysiąc pocisków dziennie się wyrabia. Za późny już było wieczór żeby można było tę fabrykę zwiedzić, a bardzo żałowałem żem z tego musiał zrzecygnować.

Weszliśmy wreszcie *al fonda*, czyli poprostu do oberży ciemnej, brudnej, niestety bardzo wewnątrz przypominającej zajezdne domy po naszych małych miasteczkach, tylko zewnątrz nieco odmiennej, piątrowej była architektury z drewnianymi balkonami, bo w Hiszpanii niemasz tak nędznego domu, żeby nie był na piętro i nie miał balkonów. Że po zupełnie ciem-

nych schodach wszedłem na pierwsze piętro, zawdzięczam to tylko memu towarzyszowi, który szedł tuż przedemnę, a widocznie znał się na pamięć z topografią miejscowości, znał się i z personalem, bo go tam wszyscy bardzo witali zacząwszy od grubej gospodyni, a skończywszy na ładnych *donzellach*. Zamówiwszy pokoje i wieczerzę poszliśmy do bióra paszportowego, żeby się wylegitymować i otrzymać wizę, było to moje pierwsze i ostatnie urzędowe zetknięcie się z Karlistowskiemi władzami na hiszpańskim gruncie, a i to niebezpośrednie, bo p. Unzetta wszystko za mnie załatwił z głuchym jak pień urzędnikiem.

Gdyśmy wyszli z owego bióra p. Unzetta pożegnał mię na chwilę, aby pójść odwiedzić swoich znajomych w mieście, a mnie prosił żebym czekał na niego w oberży z kolacyą. Tym razem więc już sam przez ciemności egipskie sieni i schodów dostałem się jakoś przecie na długi korytarz pierwszego piętra *Fondy*, z którego to korytarza jak w klasztorze było mnóstwo drzwi do pojedynczych celek, dużo z nich było na rozcież otwartych i oświeconych, a wewnątrz wieczerzało przy dużych stołach w każdej po kilkunastu żołnierzy.

Jeżeli kiedy podczas całej podróży doznałem bardzo przykrych uczuć i byłem w pożałowania godnem położeniu, to właśnie w owej chwili. Nie umiejąc ani słowa po hiszpańsku myślałem że z pomocą włoskiego i francuzkiego języka, zwłaszcza nad samą granicą, przecie jakoś będę się mógł porozumieć! Tymczasem tu teraz prostej rzeczy, żeby mi wskazano gdzie są nasze zamówione pokoje, nie mogłem od nikogo wykołatać, ani gospodyni, ani żadna z donzellek mie mogły w żaden sposób dorozumieć się czego chcę, choć to przecie nie tak trudno było się domyśleć, że nowy przybysz do gospody, chce spocząć w osobnym pokoju. Przekonałem się zaraz na wstępie, że Hiszpanie to nie Włosi, nie można z niemi rozmawiać na migi. Włoch każdy, jeszcze się ust dobrze nie otworzy, a już wie czem może usłużyć, tu zaś zostawiono mię własnemu losowi jak głuchoniemgo, z którym się dogadać nie można.

Spacerować po kurytarzu tam i napowrót, po przeszło sześciogodzinnym uciążliwym marszu nie bardzo było zabawnie, by więc przecie raz usiąść wszedłem do jednej z owych oświeconych celek, gdzie przy stole było jeszcze kilka miejsc

próżnych, i zasiadłem między żołnierzami jakby do wieczerzy. Wcale im to nie było dziwne, na ich pozdrowienie *buenas noches* (co znaczy dobranoc i dobry wieczór zarazem) odpowiedziałem tak samo, i wnet weszła służąca z wazą którą postawiła na stole. Żołnierze powstali, i przeżegnawszy się zmówili krótką modlitwę, i widocznie korciło ich to że nie zrobiłem tak samo. Pomimo tego jednak żołnierz koło mnie siedzący, nabrawszy pierwszy talerz zupy tak gęstej, że ją równie dobrze jak łyżką i widelcem jeść by można, a nawet nożem krajać, sporą porcyę postawił przedemną, ja zaś jeść wcale nie mając zamiaru stanowczym gestem odsunąłem talerz, bo nie umiejąc grzeczniej po hiszpańsku podziękować, musiałem posłużyć się tym kosmopolitycznym sposobem odmawiania propozycyi. Zdziwienie było wielkie, i zarzucono mnie różnemi pytaniami, na które dopiero nic już odpowiedzieć nie umiałem. Ta zupełna, upokarzająca niemoc porozumienia się z ludzkiemi istotami, jakiej dotąd nigdy w życiu w tym stopniu nie doświadczyłem, tak mię dławić zaczęła, że wnet opuściłem szanowne grono zostawiając mu zapewne nie najlepsze o sobie wyobrażenie i zeszedłem na dół, by na świeżem powietrzu czekać na pana Unzettę. W sieni już tym razem oświeconej spotkałem na szczęście naszego małego Baska z osłem i rzeczami najętego w St. Jean de Luz.

— Umiesz po francuzku, — zapytałem go natychmiast.

— Umię — odpowiedział.

— To choćże ze mną na górę i bądź moim tłumaczem, i ledwiem go z radości nie uściskał. Za jego pośrednictwem znalazłem się w czystym, dosyć miłym pokoiku, a gdy mi do tego jeszcze przyniósł moje rzeczy, wyciągnąłem natychmiast małą gramatyczkę hiszpańską, (jedyna książeczka, której panu S. nie dałem sobie wrzucić ze zawiniątka), w niej były najpotrzebniejsze frazesy dla podróżnych, otworzywszy więc na rozdział konwersacyj *In fonda*, zacząłem brać pierwszą lekcyę hiszpańskiego języka. Dobrze mi tak, dla czego nie chciało mi się nic uczyć w Biarrits, ale bo też nigdy nie spodziewałem się, że za pierwszą zaraz nadgraniczną górą znajdę się odrazu w tak głębokiej Hiszpanii, gdzie już nikt żadnym innym nie mówi językiem tylko po hiszpańsku albo jeszcze gorzej, bo po basku.

Wkrótce nadszedł p. Unzetta, przyniesiono więc i nam kolacyę, mówią, że głód najlepsza przyprawa, lecz pomimo, że tej najlepszej przyprawy wcale mi nie brakowało, hiszpańskie potrawy zasmakować mi nie mogły. Mięso czy nie mięso, zupa czy jarzyna, wszystko na oliwie i jakby umyślnie w taki sposób przyrządzone, żeby prawie nie możliwe było do jedzenia, i wino ciężkie i niesmaczne, pić go trzeba na pół z wodą, jeden chleb bardzo dobry, biały, delikatny, choć masywny, zupełnie odrębny od wszystkich innych chlebów, nawet dziwaczną formą bochenków.

Zostawszy wreszcie sam w pokoju, nim spocząłem po trudach i emocyach dnia tego, rekapitulowałem sobie w myśli ważniejsze rzeczy z tego co słyszałem od p. Unzetty, bo można sobie wystawić, że długą i uciążliwą drogę ze St. Jean de Luz do Very skrócaliśmy sobie nieustanną pogadanką.

Pan S. przedstawił mi p. Unzettę jako byłego deputowanego z prowincyi Guipuzcoa. Wypytywałem go o te czasy kiedy to Karliści byli nie w polu, lecz w izbie, i oto co z relacyi jego zapamiętałem.

Po wybuchu rewolucyi i upadku Izabelli w r. 1868, Don Karlos wystąpiwszy jako pretendent do korony hiszpańskiej myślał z początku, że drogą pokojową dojdzie do tronu w Madrycie przez to, iż do Kortezów nowe wybory wprowadzą większość, która się za nim oświadczy. Kazał więc swoim przyjaciołom i stronnikom w kraju zaniechać wszelkich gwałtownych ruchów, i polecił im wcale się nie usuwać od wyborczej urny, ale owszem wybierać i dać się wybierać, gdyż znając prawdziwą opinię szczególniej niższych warstw hiszpańskiego ludu, mógł się spodziewać, iż jeśli wybory pójdą naturalnym trybem, będzie miał większość za sobą. Tymczasem ówczesny rząd madrycki użył wszelkich godziwych i niegodziwych środków represyjnych i agitacyjnych przeciw legitymistom, by swoich kandydatów przeprowadzać. Można sobie wystawić, jaka ztąd wynikła zażarta walka wyborcza w Hiszpanii, gdzie krew nie woda. W niektórych prowincyach, szczególniej na Północy przychodziło do otwartych batalii, wszczętych przez urzędowe figury między wyborcami, a rezultat był ten, że ledwie około 70 Karlistów weszło do parlamentu. Nie byli to tylko reprezentanci północnych prowincyj, było wielu i z in-

nych części Hiszpanii, zostali jednak w mniejszości i przez to skazani byli na najprzykrzejszą rolę bezsilnej opozycyi, protestującej wprawdzie uchwałom większości, ale bez praktycznego skutku, bo w kraju działo się wszystko przeciwnie, jak chcieli. Co najwięcej, że mogli czasem dokuczyć partyi przeciwnej, a najbardziej raz dokuczyli Amadeuszowi, gdy tenże na tron wstąpił, a to przy następującej okazyi. W Kortezach hiszpańskich przewodniczącym w izbie jest zawsze najstarszy wiekiem deputowany, sprawozdawcą najmłodszy, zdarzyło się tak iż najstarszy i najmłodszy z członków izby byli z obozu Karlistów, Karlista więc przewodniczył w parlamencie, to też gdy Amadeusz wszedł po raz pierwszy do izby, nikt nie wyszedł na jego spotkanie, i nikt go nie powitał.

Po trzech latach daremnej walki parlamentarnej, gdy w r. 1872 zostały rozpisane nowe wybory, nie rokujące Karlistom lepszych rezultatów, gdyż rząd jeszcze gwałtowniejszych zaczął używać środków agitacyjnych, aby opinię kraju sfałszować, Don Karlos postanowił zerwać ze śmieszną komedyą nowożytnego parlamentaryzmu i wydał proklamacyą wzywającą Karlistów do opuszczenia izby i podejmującą walkę na innem polu. W kilka dni później wojna wybuchła.

Pan Unzetta będąc sam zagorzałym Baskiem, opowiadał mi także wiele o Baskim ludzie i o Baskich prowincyach będących zawsze główną podstawą operacyjną Don Karlosa. Stanowiły one od wieków w obrębie monarchii hiszpańskiej jakby państwo w państwie, przez odrębną konstytucyę i różne przywileje tak zwane *Fueros*, które sobie przez wielkie zasługi oddane ojczyźnie we wojnach z Maurami i później zdobyli i zapewnili. Trzy baskie prowincye Rzeczpospolita; Guipuzcoa, Biscaya i Alawa, i czwarte królestwo Nawara, gdzie już ludność nie mówi baskim językiem, chyba na pograniczu, oto są te wybrane kraje, które od czasu rewolucyi francuzkiej, gdy ludzkość zatraciwszy poprzedni ideał zaczęła szukać dla siebie nowych form politycznych, były już niejednokrotnie przedmiotem studyów myślicieli i uczonych, którzy ustawy i urządzenia polityczne tych czterech prowincyj za wzorowe i czystym pojęciom o wolności najodpowiedniejsze uznawali. Kraje te rządzące i administrujące się same dla siebie po republikancku, wedle najbardziej wygórowanych zasad autonomicznych, umieją

być pomimo tego na wskróś monarchicznemi nawet teokratycznemi, pierwiastki te: republikancki monarchiczny i teokratyczny zlały się w tych krajach w jeden system rządzenia, nadający każdemu z nich jego odrębność, a łączący je znowu w osobie króla w jedną całość, do czego i bezwzględna jedność kultu religijnego niezmizrnie się przyczynia.

Podstawą wszystkich urządzeń tamże jest gmina, wszystkie urzęda publiczne i władze (Poderados) pochodzą z wyboru gmin wiejskich i miejskich, wyborcami zaś są tylko ojcowie rodzin stale na gruncie osiadłych, lub też duchowni stałe funkcye sprawujący, co wszystko razem formuje tak zwane *Junty*. Nie może zaś być wybranym ani do Junty, ani do Kortezów żaden adwokat, literat z profesyi, ani doktór medycyny.

Bezpośrednio rządzone i administrowane są te cztery prowincye przez tak zwane *Deputacye*, złożone zwykle z 7 członków, na czele zaś każdej z nich stoi *Deputat Generalny*, niejako prezydent Rzeczypospolitej (w Nawarze prezydentem Deputacyi musi być zawsze duchowny). Deputat Generalny obierany bywa na rok i jest odpowiedzialny za swoje rządy. po skończonym roku musi on przed zebranymi Poderados ze wszystkiego tłomaczyć się i zdać rachunek, i jeźli co zawinił, może popaść w stan oskarżenia, a choćby był najlepszym nie może być zostawiony deputatem na rok następny, chyba później znowu wolno go wybrać.

Jądrem zaś tego we Fueros, co odrębność tych czterech prowincyj od reszty monarchii stanowi, jest to, że płacą one podatki o połowę mniejsze niż gdzieindziej w Hiszpanii się płacą, i że wolne są od przymusowej branki, choć tam każdy obywatel od 15 do 40 roku życia swego jest żołnierzem. Za to w razie wojny obowiązani są do pospolitego ruszenia, lub do uchwalenia i oddania na usługi króla pewnej liczby żołnierza.

Nawet i za czasów panowania królowej Izabeli, tylko niektóre z tych przywilejów nie były dotrzymywane, większa zaś część *Fueros*, mianowicie co do podatków i służby wojskowej zostały nietknięte. Także i ten przywilej, że nie wolno w tych prowincyach osiedlać się żadnemu żydowi ani różnowiercy dochowany został w zupełności, to też nie spotka tam chyba przejezdnego żyda albo protestanta.

Takiej konstytucyi odpowiada w tych krajach wyjątkowy ustrój społeczny. Nie ma tam wielkich kompleksów posiadłości ziemskich, podział dóbr ziemskich utrzymuje się tam w równowadze jak może zresztą nigdzie w całym świecie, to też jak nie ma tam zbyt wielkich majątków, nie znajdzie także i ostatniej nędzy. Choć który z obywateli jest większym panem, posiadłości jego rozrzucone są po różnych stronach w drobnych stosunkowo kawałkach ziemi, do najbogatszych zaś liczą się już ci, co mają około 50,000 franków rocznego dochodu.

Równość w obec prawa doprowadzona jest tam do najwyższego stopnia, mianowicie w Guipuzcoa przez to, że każdy obywatel tej Rzeczypospolitej jest szlachcicem, a i w Nawarze, Biskai, Alawie, są całe szlacheckie osady, niby nasze zaścianki.

Król jest przedewszystkiem wodzem najwyższym i sędzią. Stosunek jego do poddanych jest czysto osobisty, oparty na wzajemnej przysiędze króla na Fueros, narodu na wierność królowi i dynastyi.

I właśnie to stanowi największą siłę Don Karlosa, iż on wszedłszy do Hiszpanii, na dawny średniowieczny sposób zaprzysiągł Fueros Baskich prowincyi i królestwa Nawary. Ceremonia ta, która nie była tylko czczą ceremonią, ale rzeczywistym aktem obopólnej przysięgi, odbyła się w Biscayi tam gdzie się w dawnych wiekach zawsze odbywała, pod sławnym dębem Guernica, który zawsze u Basków w niezmiernem był poszanowaniu, a przed którym za napoleońskich wojen w Hiszpanii prezentowali broń francuzcy żołnierze, jako przed drzewem wolności.

Prócz tego i Guipuzcoa osobno Don Karlosa obwołała królem Rzeczypospolitej i akt ten uroczystej przysięgi połączony z wielkim festynem ludowym odbył się niedawno we Villa-Franca. Tylko na króla Nawary nie koronował się jeszcze Don Karlos, gdyż według Fueros koronacya musi się odywać w Pampelunie, a Pampeluna jest w rękach nieprzyjaciela. Najpierwej jednak w Nawarze zaraz po wejściu do Hiszpanii, Don Karlos królem został obwołany.

Wszystkie te ludy uznawszy raz w Don Karlosie swego monarchę, już na mocy Fueros winne mu są pospolite rusze-

nie na jego wezwanie, to też wszystkie są pod bronią, stoją one przy nim silnie i wiernie także jako przy królu katolickim obrońcy wiary przeciw rewolucyjnym rządom Madryckim, gwałcącym jedność kultu i fueros, a za te dwie rzeczy każdy prawdziwy Bask czy Nawarczyk gotów każdej chwili poświęcić życie i całe mienie,

Oto jak Karliści pojmują swoją sprawę, z niejednym z nich i później mówiłem, wszyscy śpiewają na tę samą nutę.

Nazajutrz o pół do 5tej rano już byliśmy na nogach, zaledwie słońce zeszło, konie były osiodłane i właśnie mieliśmy ruszać w drogę, kiedy przed nami stanął zakapturzony jeździeć w długim makintoshu, bo czas był dosyć mglisty, chłodny i wilgotny, i zeskoczywszy z konia rzucił się na szyję memu towarzyszowi,.... tylko w Polsce i w Hiszpanii ludzie się tak serdecznie ze sobą witają.

„Mój kuzyn Tirso Olozabal“ powiedział po chwili pan Unzetta wskazując mi nowo przybyłego „Senor Polaco, który jedzie do Estelli, by poznać bliżej Karlistów,“ rzekł chcąc przedstawić mię panu Olozabalowi, a nie mogąc spamiętać mego nazwiska. Powiedziałem mu je sam, a Don Tirso odrazu zaproponował mi, że jeżeli chcę jechać do Estelli, mogę do niego się przysiąść, gdyż on tam wprost jechać musi, aby zobaczyć się z królem; powóz czeka na niego w Andoain pod Tolosą, dokąd konno wieczorem zdążymy i dalej już wygodnie dojedziemy, powozem aż do samej Estelli, zanocowawszy wprzód dzisiaj we Villa Franca za Tolosą, aby mniej drogi na jutro zostało. Przytem dowiedziałem się od nowego towarzysza podróży, że hrabiego El Pinar nie ma w Tolosie, że jest także w Estelli, gdyby więc nie to szczęśliwe spotkanie się z panem Olozabalem, nie wiem co byłbym począł w Tolosie niezastawszy hr. El Pinar, a opuszczony przez p, Unzettę.

Po chwili wszyscy trzej byliśmy na koniach i w drodze, a zaledwie wyjechaliśmy z Very czekała nas przeprawa w bród przez Bidassoę, którą znałem już z mojej pierwszej wycieczki do Hiszpanii opowiedzianej powyżej. Lecz nigdybym nie był poznał, że to ta sama Bidassoa, która tam przy ujściu tak wspaniale się rozlewa, tu zaś ścieśniona górami płynie sobie

skromnie, jakby jeszcze ze sto mil miała do morza, woda koniom ledwie po brzuchy sięgała, a wystarczyło jednej śmiałej kamiennej arkady, by z prostopadłych brzegów kabłąkowy most przez nią przerzucić. Mostów takich odwiecznych dużo się spotyka w Hiszpanii, monumentalny i klasyczny mają charakter, podobne widywałem tylko w Toskanie i w sabińskich górach, lecz Hiszpańskie może jeszcze śmielsze i wspanialsze. Ten pod Verą przerwany i dlatego w bród jedzie się przez rzekę. Don Tirso zwrócił tu zaraz moją uwagę, jako na historyczne miejsce. Zdobycie tego mostu, zburzenie go, obsadzenie Very to był pierwszy czyn wojenny garstki ochotników karlistowskich (przy końcu kwietnia w 1872 roku), kiedy po pierwszy raz Don Karlos wszedł do Hiszpanii, niedaleko miejsca gdzie i my wczoraj przeszliśmy granicę. Dopiero od pana Olozabala dowiedziałem się, że Vera była pierwszą kwaterą Don Karlosa i z Very wydał on pierwsze wojenne proklamacye do armii Hiszpańskiej i Basko-Nawarskiego ludu

Komentarzom p. Olozobala do miejsc przez które przejeżdżałem w Hiszpanii zawdzięczam, iż podróż moja była zarazem praktycznym kursem historyi karlistowskiej wojny. Jużto wogóle temu niespodzianemu spotkaniu się z p. Olozabalem winien jestem odtąd wszystko co widziałem słyszałem i co przyjemnego doznałem w Hiszpanii, przez niego porobiłem wiele znajomości, i jemu zawdzięczam to iż mogę powiedzieć, że nietylko widziałem, lecz i poznałem Karlistów. Bo też i on sam ciałem i duszą zrośnięty z tą sprawą, jest jednym z najwybitniejszych jej przedstawicieli. Jestto jedna z najbardziej powszechnie znanych i lubionych osobistości w karlistowskich krajach, niemal każdy żołnierz, każdy chłop wie kto jest *Don Tirso* imię to nieraz wybawiło mię z kłopotu, służąc mi za paszport. Pochodzi on ze starożytnej baskiej rodziny, najdawniejsze hiszpańskie kroniki wspominają o rycerzach Olozabalach odznaczających się we walkach z Maurami. Główna siedziba jego do ostatnich czasów była w Irun, zkąd jest rodem i gdzie, zamieszkiwał odwieczny familijny pałac Olozabalów, w którym jak mi sam mówił przodkowie jego nieraz przejeżdżających do Hiszpanii monarchów gościli. Obecnie pałac ten Alfonsiści, zająwszy Irun wzięli na koszary. Ma Don Tirso jednak prócz tego wiele posiadłości roz-

rzuconych po całym kraju, bo jest on jednym z najmożniejszych panów w Guipuzcoa. Wychowanie odebrał francuzkie, szkoły kończył w Paryżu, gdzie wszedł w bliskie stosunki z wieloma legitymistami francuzkimi, prócz tego bawił dłuższy czas w Anglii i we Włoszech, ma więc kompletne europejskie wykształcenie i doskonale włada obcymi językami, co jednak nieprzeszkadza, że jest on przedewszystkiem zagorzałym Baskiem. Osobisty przyjaciel Don Karlosa i Donny Marguerity. oddawna najściślejszemi węzły z domem Don Karlosa złączony, oddał on już sprawie jego niezmierne usługi. Jest on niejako twórcą dzisiejszej karlistowskiej artyleryi. Sam zebrał znaczny fundusz na armaty, sam zakupił w najlepszej fabryce angielskiej Withwortha przeszło 60 stalowych gwintowanych dział dalekonośnych w niczem nie ustępujących Kruppom, sam je też z największemi trudnościami walcząc do Hiszpanii przewiózł, szczęśliwie na ląd wysadził i w ręce Karlistów oddał. W nagrodę takiej zasługi został on jeden, wyjątkowo, mianowany honorowym półkownikiem artyleryi, choć właściwie nigdy artylerzystą nie był, i teraz w czynnej służbie nie jest, tylko raz w obronie swego rodzinnego miasta Irunu komenderował bateryą. Przed wzięciem Irunu żona jego emigrowała do Francyi i zamieszkała w St. Jean de Luz, jemu zaś zabroniony jest pobyt we Francyi. Jestto jeszcze młody człowiek ujmującej powierzchowności miernego wzrostu z brodą strzyżoną *à la* Filip II w młodych latach, przytem nadzwyczaj żywy i wesoły, dużo śmiejący się i wielomówny, uprzejmy, gościnny, prosty w obejściu, a zawsze jednakowy, czy to mówi z królem, czy z pierwszym lepszym Baskiem którego spotka na drodze. Nie mógł mi los sprzyjający mojej wycieczce oddać większej przysługi jak dodając mi takiego towarzysza podróży, przewodnika i opiekuna, jakim był dla mnie wszędzie i nieustannie Don Tirso Olozabal, to też czułem się w obowiązku łaskawych czytelników bliżej z nim zapoznać.

My tymczasem przebywszy Bidassoę ciągle noga za nogą jechaliśmy pod górę wśród kasztanowych lasów zmierzając ku zachodowi; czas był mglisty i ponury, tak, że ledwie najbliższe można było rozróżniać przedmioty, bałem się już że będziemy mieli słotę, lecz w parę godzin wznieśliśmy się tak wysoko po nad mgłę, która tymczasem opadała, że zostawiliśmy ją

głęboko pod sobą, zalegała i wyrównywała przepaście i doliny, a my po nad chmurami używaliśmy słońca i pogody i najwspanialszego widoku na niezliczone mnóstwo szczytów gór sterczących ponad mglistym oceanem i słonecznym blaskiem opromienionych. W tych regionach już nie było kasztanowych lasów, tylko ogromne łany paproci i pastwiska, na których tysiące owiec się bieliło.

„Oto Karliści pana jenerała Trillo.“ Zawołał Don Tirso wskazując na uciekające przed nami spłoszone stado owiec. Była to aluzya do owej proklamacyi pana Trillo, o której wspomniałem powyżej, i tu pan Olozabal zaczął nam opowiadać bliższe szczegóły o przedwczorajszej zwycięzkiej dla Karlistów bitwie, w której tenże jenerał Trillo został pobity i taki tylko raport przesłał do Madrytu: „Atakowałem wczoraj kilka pozycyj nieprzyjacielskich bez skutku,“ a dziennik rządowy wychodzący w San Sebastian napisał o tem naiwnie:“ że jen. Trillo zrobiwszy w tych dniach rekonesans, znalazł okoliczne pozycye karlistowskie silniej obsadzone i bardziej obronne niż się spodziewał.“ Cieszyli się niezmiernie moi towarzysze temi próbkami urzędowego stylu i długo bawili się dowcipkowaniem a conto jenerała Trillo, a przez grzeczność dla mnie, prawie ciągle rozmawiali po francusku.

Po czterogodzinnym marszu wjechaliśmy wreszcie pod sam szczyt najwyższej góry jaką mieliśmy do przebycia Don Tirso nazwał mi ją; Mont des trois couronnes i w rzeczy samej rozpadała się na trzy skaliste wierzchołki. U stóp tej góry głęboko jest mała dolinka, gdzie widać było parę domostw i kilka zagonów kukurudzy, otóż tam formował się pierwszy oddział Karlistów, zanim mógł wyjść na szers e pole działania, i w istocie miejsce to zamknięte w około niedostępnemi górami, bardzo było do tego sposobne; Don Tirso pokazywał mi skałę, na którą sam wtoczył pierwszą górską armatkę. Z wysokości na której byliśmy otwarło się przed nami na parę mil wokoło wspaniałe panorama, szczególniej ku stronie północno-zachodniej, ku morzu, zwłaszcza że mgła już była prawie zupełnie opadła. Widać było San Sebastian, fortecę i port bardzo malowniczy i cały ten szereg alfonsistowskich baszt i fortów nad morzem i Bidassoą, który niedawno z przeciwnej strony z Hendaye oglądałem. Teraz dopiero widziałem się na prawdę

za ową kurtyną cudownych hiszpańskich brzegów Bidassoy, po za którą wówczas tak pragnąłem się dostać, i z pomocą pana Olozabola zrobiłem to odkrycie, iż za owym nadgranicznym kordonem alfonsistowskich pozycyj ciągnie się tuż zaraz silny łańcuch karlistowskich cytadel i fortów, z których największy zowie się San Marcos. Otóż to są owe pozycye które były atakowane przedwczoraj przez jenerała Trillo, a były „lepiej obsadzone i bardziej obronne niż się spodziewał.“ — Z tychże fortów Karliści zaczęli właśnie bombardować i dotąd bombardują San Sebastian, tego dnia jednak było dosyć cicho, tylko kiedy niekiedy dochodził nas głuchy huk armatniego strzału.

Byliśmy już na krańcach królestwa Nawary, i około 10tej rano wjechaliśmy do Quipuzcoy. Na komorze, (gdyż tam między temi wszystkiemi drobnemi prowincyami są komory celne), na komorze zatrzymaliśmy się chwilę, by trochę dać wypocząć koniom i samemu nieco się pożywić. Była to karlistowska komora, a więc prosta szopa naprędce zbudowana z drzewa, wewnątrz we wielkiej izbie przy ognisku było kilku żołnierzy, którzy z wszelkiemi honorami przyjęli moich towarzyszy, i wnet podano nam bardzo obozowe śniadanie z jaj smażonych na oliwie, sera owczego, chleba i wina, którego nam nalano ze skórzanego worka, Hiszpanie bowiem wino we workach trzymają i transportują, przez co nie nabiera ono wcale miłego smaku i zapachu. Pokazywano mi tam jako osobliwość karabiny pierwotne w jakie pierwsi karliści początkowo byli uzbrojeni, wcale porządnie robione przez krajowych majstrów, odtylcowej konstrukcyi i domowego wynalazku. Zarazem pokazano mi i teraźniejsze karabiny najlepszego systemu Remingtona, w jakie teraz cała armia Don Karlosa jest zaopatrzona, choć tylko jeden transport z Anglii sprowadzono, reszta zaś została sfabrykowana i fabrykuje się ciągle według angielskich modeli w krajowej ludwisarni w Vergarze. Pyreney obfitują w miny i huty żelazne, a Baski od wieków sławni są ze swoich wyrobów metalowych; na ostatniej wystawie paryskiej otrzymali pierwsze nagrody za fabrykaty ze stali inkrustowanej srebrem i złotem naśladujące antyki, a właściwie nie różniące się w niczem od antyków, gdyż sztuka kucia hełmów, pancerzy, ręcznej broni, jakoteż i różnych innych metalowych sprzętów uży-

wanych w średnich wiekach, a zapełniających dzisiaj historyczne muzea, utrzymała się u nich tradycyjnie, aż do naszych czasów, nic więc dziwnego, że doskonałemi są także rusznikarzami.

Na dalszą podróż dodano nam na owej komorze jako honorową eskortę trzech pieszych żołnierzy, a później przyłączył się do nas jeszcze oficer na koniu w pełnym uniformie; doliczywszy do tego jeszcze i muła z bagażami, którego za nami pędzono, wszystko razem tworzyło karawanę wcale okazałą. Wjechawszy do Gnipuzcoy, już ciągle spuszczaliśmy się na dół, i tu konie nasze dokazywały cudów, niemiałem pojęcia że takiemi ścieżkami, po takich spadzistościach koń jest wstanie chodzić. Z początku doznaje się przytem bardzo przykrych uczuć, zdaje się ciągle że jeśli nie razem z koniem, to przez łeb koniowi zlecieć się musi, później i do tego można się przyzwyczaić, i tylko byle nie przeszkadzać koniowi, nie manewrować cuglami, on z pewnością i w najtrudniejszych miejscach da sobie radę. Jadąc ciągle w zachodnim kierunku zbliżaliśmy się coraz lepszą drogą do owej grupy Karlistowskich i Alfonsistowskich fortów w okolicy Oyarzun i San Sebastian, którą przedtem widzieliśmy z góry, a gdzie przedwczoraj jeszcze krew się lała. Jestto jedna z głównych widowni karlistowskiej wojny, co moment też napotykaliśmy tego ślady w poburzonych i popalonych domach gęstych wsi nie różniących się niczem od miasteczek, bo jest to kraj bardzo zamieszkały, a wszystkie prawie domy z herbami nad bramą, bo tam już sama szlachta. Tutaj góry są o wiele mniejsze, wcale nieskaliste i powiększej części uprawne, wszędzie dużo winnic oliwek, kasztanów, kukurydzy i kartofli. W polu wcale wojny znać nie było, zato jednak gospody, tak zwane „*Posady*“ któreśmy co chwila mijali, przepełnione były wojskiem, naturalnie samymi Karlistami, bo Alfonsistów po wsiach w tym kraju nigdzie spotkać nie można, trzymają się oni zamknięci po niektórych większych miastach, fortach i fortecach, zkąd tylko większemi siłami naraz robią wycieczki, które się zwykle dla nich nieszczęśliwie kończą, bo nietylko wojsko karlistowskie ale i ludność cała energiczny stawia im opór, tak, że zwykle z wielkiemi stratami w ludziach do siedzib swoich wracają, paląc za to po drodze i rabując domy i zabierając co się da żywności. Dosyć raz przejechać te ziemie, aby wi-

dzieć że Karliści są w domu u siebie, a wojska rządu Madryckiego w obcym zupełnie dla siebie kraju, i wszelki rabunek i zniszczenie po wsiach od nich tylko pochodzić może, bo któżby niszczył własny swój dobytek.

Zatrzymywaliśmy się przed niektóremi „Posadami,“ gdzie towarzysze moi witali się z wojskiem z oficerami, raz nawet z siedli z koni i rzucali się w objęcia oficerom, którzy pod wrażeniem świeżej porażki zadanej Jen. Trillo w podniesionych byli humorach. Don Tirso przedstawił mi jednego oficera, młodego chłopca ze skromną miną, który w tej ostatniej bitwie bardzo się odznaczył, gdy z kompanią swoją atakując na bagnety odebrał Alfonsistom zajętą już przez nich pozycyę. Znowu nieznajomość hiszpańskiego języka niezmiernie mi się przykro czuć dawała, bo ileż więcej mógłbym był porobić spostrzeżeń, nazbierać charakterystycznych szczegółów, zapoznać się z duchem panującym w armii Don Karlosa, gdybym był zrozumiał te wszystkie wykrzykniki, wybuchy radości i uniesienia, z jakiemi witano po drodze moich towarzyszy, a szczególniej Don Olozabala. Tyle jednak zrozumiałem, że chyba niema dla serca ludzkiego większej radości na ziemi, jak czuć się choćby na chwilę zwycięzcą.... już dla tego samego wojny nigdy nie ustaną,

Wkrótce wypadło nam przejeżdzać koło miasteczka Oyarzun, które jest w rękach Alfonsistów, to też niema tam już inych, prócz wojska, mieszkańców. Główny fort miasta, na wzgórzu, był na prawo od nas tylko o kilkaset kroków, i mogłem przez zwykłe *pince-nez* dokładnie widzieć w niem armaty i ruchy krzątających się żołnierzy. Chociaż z największem zajęciem przyglądałem się miastu na pół zrujnowanemu i owej cytadeli, zauważyłem jednak, że moi towarzysze półgłosem naradzać się zaczęli z żołnierzami, którzy nas konwojowali, i wnet najbliższą ścieszką idącą w lewo na dół między płoty i domostwa się zwrócili. Zrobiłem to samo nie zastanawiając się co ta nagła wolta znaczy, myślałem że poprostu zmyliliśmy drogę, a teraz do niej wracamy. Żałowałem tylko żeśmy odrazu Oyarzun i cytadelę i cały ten bardzo zajmujący widok z oczu stracili.

Jakoż niedługo potem wjechaliśmy na bity gościniec i zwróciliśmy się w kierunku południowo wschodnim w głąb

kraju; piesi żołnierze nas opuścili, tylko oficer na koniu został z nami. Gościńcem można było trochę pospieszyć kłusem, niedługo jedak pocieszyliśmy się bitą drogą, trzeba było znowu zjechać na ścieżki prowadzące nas przez góry lasy i wertepy, aż nareszcie w pięknem i zacisznem miejscu, wśród gór lesistych nad potokiem ukazał się nam wysoki komin dużej jakiejś fabryki, podobno papieru, a obok obszerna „Posada“ dokąd około pierwszej z południa zajechaliśmy na obiad. Miejsce to nazywa się *Fagodiaga*, na pierwszem piętrze gospody było kilka oficerów, naturalnie znowu dobrych znajomych moich towarzyszy, we Fagodiadze stał główny sztab rozsypanego po całej okolicy batalionu. Komendant bardzo przyzwoicie wyglądał, zasiadł z nami do stołu, wskutek czego znowu przez cały obiad byłem na hiszpańskiem kazaniu. Dopiero przy deserze niespodzianie usłyszałem ze dworu odgłos powszechnie zrozumiałego, kosmopolitycznego języka, pierwsze akordy uwertury w Marty, dosyć czysto i pełno dobyte z dętych instrumentów. Poskoczyłem do okna i z wielkiem zdziwieniem ujrzałem przed domem rondo wojskowej muzyki, z kapelmistrzem w środku, a przed każdym muzykantem był żywy pulpit, mały chłopak trzymający nóty. Uwertura szła wcale nieźle. Dowiedziałem, się że w armii Don Karlosa każdy batalion ma swoją kapelę, gdyż Bask bić by się nie chciał bez muzyki. Codzień o tej godzinie we Fagodiadze grano pod oknami komendanta. Po skończonej uwerturze, zapytałem p. Olozabala czy armia niema jakiego specyalnego swego marszu narodowego lub hymnu, odpowiedział mi, że jest ich nawet kilka, i szepnął komendantowi, który był taki łaskaw że zaraz kazał muzyce zagrać marsza Don Karlosa. Zaczyna się pobudką wojenną, potem idzie raźno i wesoło na temat jakiegoś hiszpańskiego tańca. Gdy skończyli grać daliśmy przez okno brawo, dzieci co się zbiegły na dole zaczęły krzyczeć viva! a po chwili posileni jako tako hiszpańskim obiadem i rozweseleni muzyką, niewypocząwszy dłużej jak godzinę, trzeba nam było znowu na koń i w drogę. I wnet inną usłyszeliśmy muzykę.

Wjechawszy na najbliższą górę okrytą lasem jabłoni obficie pachniącym owocem obciążonych, ujrzeliśmy czarującą dolinę *Hernani*, z miastem tegoż nazwiska na wzgórzu. Pierwszy to raz w Pyreneach unurzony wzrok mój ciągłym ponurym

ściśnionych gór widokiem, spoczął wreszcie na otwartej, rozległej dolinie! Hernani pięknością położenia swego odpowiada wszelkim wymaganiom, jakie najwybredniejsze wyobraźnia stawiać może dla tego muzyką i pieśnią upoetyzowanego nazwiska. Wrażenie jakie mi to urocze miejsce zostawiło wiąże się jeszcze z inną dla mnie nową sensacyą, której tamże doznałem. Hernani jestto forteca ze wspaniałą cytadelą Sta Barbara, oblężona teraz przez Karlistów, po wszystkich wzgórzach wokoło rozstawione były Karlistowskie pikiety, dające sobie jakieś sygnały chorągiewkami. Nagle naprzeciw nas może o półtory wiorsty zadymiło się na murach cytadeli:

„Usłyszymy zaraz wystrzał armatni,“ rzekł do mnie Don Tirso i jeszcze tego nie domówił, a już zagrzmiało jakby grom padł tuż blisko przedłużony piekielnym świstem i jękiem przelatującej bomby, która wreszcie padłszy gdzieś daleko za nami rozpękła się z ponownym hukiem. Muzyka ta jakby umyślnie dla mnie powtórzyła się jeszcze razy kilka zanim minęliśmy i straciliśmy z oczu prześliczne Hernani.

Odtąd już bez żadnych niespodzianek, prawie ciągle bitym gościńcem koło zaniedbanej linii kolei żelaznej jechaliśmy aż do miasteczka Andoain, gdzie wreszcie stanęśliśmy o 6tej wieczorem i rzeczywiście czekał tam już powóz na p. Olozabala jak to nam zapowiedział w Verze. Jakże miło było po dwunastogodzinnym prawie nieustannym marszu konno, znaleść się wreszcie w wygodnym powozie. To też wszyscy humory mieliśmy doskonałe, powóz nietylko fizycznie ale i duchowo zbliżył nas do siebie, pogadanka szła coraz żywiej, moi towarzysze wpadli na temat wielkiej hiszpańskiej poezyi, którą widocznie wyśmienicie znają. Zapalając się coraz bardziej, na wyścigi deklamowali jakieś dawne rycerskie pieśni i całe ustępy z Kalderona i innych poetów, każąc mi je podziwiać, choć nierozumiem, dla samej słów kadencyi i muzyki wiersza; a jako prawdziwi Hiszpanie znając i kochając wyłącznie to tylko, co własne, z wielkiem zdziwieniem po pierwszy raz dopiero dowiedzieli się odemnie, że i Polacy mają także swoją literaturę i wielką poezyę narodową, najbardziej zaś to im zaimponowało, gdy im powiedziałem że mamy bardzo piękne tłumaczenie na nasz język Kalderona „Księcia Niezłomnego.“ Daleko więcej mieliśmy wspólnych tematów rozmowy na polu muzyki, bo

przekonałem się że obaj ci panowie są bardzo muzykalni, a szczególniej Don Tirso zna dobrze całą europejską muzykę, i jak mi mówił gra na kilku instrumentach, przez jakiś czas nawet był w wojsku kapelmistrzem i na konkursie muzyk wojskowych, już nie pamiętam w jakim mieście, uzyskał pierwszą nagrodę.... czemże bo już niebył w życiu ten Don Tirso!

Ani spostrzegłem się kiedy stanęliśmy w Tolosie, tak nam tych parę godzin w powozie szybko ulleciało. W Tolosie zatrzymaliśmy się tylko chwilę w jakimś jak na Hiszpanię bardzo komfortable hotelu, w którym pożegnaliśmy p. Unzettę, a z p. Olozabalem zaraz pojechaliśmy dalej na nocleg do Villa-Franca. Żałowałem bardzo, iż przez Tolosę przejeżdżałem w nocy, układałem sobie zwiedzić ją jadąc z powrotem tą samą drogą, bo przy wieczornem oświeceniu zdawała mi się bardzo na to zasługiwać, jest to już jedno z większych miast hiszpańskich, charakterem ulic i gmachów przypominało mi Bayonnę.

Villa-Franca jest tem przy Tolosie, czem jest Wersal teraz przy Paryżu, główną siedzibą, punktem zbornym wszystkich władz cywilnych z całego kraju. Deputacyj, Junty i t. p. Don Tirso ma tam także dom duży przy głównym placu, w którym Don Karlos, ile razy jest we Villa-Franca staje kwaterę. W domu tym i na owym placu we Villa-Franca odbyła się przed rokiem uroczystość obwołania Don Karlosa królem Rzeczypospolitej Guipuzcoa, przyczem wykonany był w obecności króla i zebranego ludu jakiś odwieczny, klasyczny Baski taniec, którego tradycya tylko w najmożniejszych i najdawniejszych Baskich domach się zachowała, i tu znowu Don Tirso przewodził tańczącym parom w dawnych narodowych strojach.

Na nocleg więc Don Tirso ugościł mię u siebie, a właściwie i on sam był gościem w swoim domu, przyjmował nas jakiś poczciwy rezydent z żoną; w zwyczajnych czasach jedyni mieszkańcy tego domu; — uprzedzeni o przyjeździe swego pana, przygotowali sutą wieczerzę, z której ja prawie wyłącznie korzystałem, Don Tirso zadowolnił się małą tylko filiżaneczką czokolady i kieliszkiem malagi, choć kuchnia pani rezydentowej była jeszcze najlepsza jaką spotkałem w Hiszpanii... ci Hi-

szpanie tak mało jedzą, że aż żenująco przy nich mieć polski apetyt.

Gdyśmy wypocząwszy nieco, przed rozejściem się do snu bawili się jeszcze trochę pogadanką, przypominając sobie zdarzenia dnia ubiegłego, Don Tirso rzekł do mnie, śmiejąc się:

— Wiesz pan, że zrobiliśmy dzisiaj jedno wielkie głupstwo.

— Cóż takiego? zapytałem.

— Niepotrzebnie koło Oyarzun podsunęliśmy się tak blisko nieprzyjacielskich pozycyj, zwłaszcza mając ze sobą żołnierzy z bronią i oficera w pełnym uniformie. Ta honorowa eskorta zamiast nam pomódz, mogła tylko ściągnąć na nas kule, i rzecz dziwna że do nas nie strzelano z fortu albo z miasta... oniby byli, dodał, pewnie nas chybili, ale strzelać mogli.

— Jeśli mieli chybić, odrzekłem, to szkoda że nie strzelali.

— Zawsze lepiej żeśmy na czas jeszcze zeszli im z oczu.

— A więc to miał znaczyć ten naszzwrot nagły pod Oyarzun z drogi na lewo!

Tak minął mi pierwszy dzień w Hiszpanii; nazajutrz choć także od 5tej rano do wieczora byłem ciągle w drodze, już ani w części nie doznałem tylu nowych wrażeń. Jazda w wygodnym powozie bitą, równą szosą jest nawet pewnym anachronizmem, gdy celem podróży jest obóz wojenny. Od Estelli z Villa-Franca dzieliły nas właściwie tylko dwie góry, na które gościniec powoli lecz nieustannie się spina, tak że pierwszą przebyliśmy ledwie do południa, a druga zbawiła nas prawie do wieczora. Zauważyłem, że Hiszpanie bardziej szanują pociągowe niźli wierzchowe konie. Wczoraj wierzchem jechaliśmy dwanaście godzin prawie bez przestanku, tu zaś teraz choć mieliśmy trzy konie w poręcz przy powozie, w którym prócz nas dwóch, furmana na koźle i paru lekkich zawiniątek nic wcale nie było, w każdem przykrzejszem miejscu do góry, nie tylko że wlekliśmy się noga z nogi, ale parę razy przyprzęgano jeszcze dwa woły do karety, jak gdybyśmy nie wiem z jakim ciężarem jechali, a prócz tego parę godzin staliśmy popasem, w małej wiosce, której już nie pomnę nazwiska. Oczywiście, że woleliśmy wielką część drogi iść piechoto, niż nudzić się w powozie.

Póki jeszcze byliśmy w Guipuzcoa, okolica była pełna rozmaitości, góry lesiste i dosyć przystępne, w dolinach ziemia żyzna, kultura wszędzie staranna, dużo fabryk, najwięcej hut żelaznych, miasteczka po drodze dość czyste i porządne, słowem kraj cywilizowany i dla oka miły.

Mój towarzysz prawie każdego Baska po drodze zaczepiał i z nim po Basku rozmawiał, a między nimi byli i dobrze mu znani mieszkańcy jego posiadłości, przez które szła nam droga. Język Baski niepodobny do żadnego innego z żyjących języków, ma być niesłychanie trudny, i kto się go w dzieciństwie między swemi nie nauczył, temu już później jest to prawie niżmożliwem. Baski o swoim języku mają taką ludową przypowieść, iż to jest jedyny język, którego djabeł nie rozumie, bo się go nigdy nie mógł nauczyć, i dla tego to mało który Bask idzie do piekła. Umiejętność nowożytna nie potrafiła jeszcze dotąd rozstrzygnąć do jakiej kategoryi, do której z wielkich familij językowych Baską mowę policzyć należy, są co do tego najsprzeczniejsze hypotezy, polyglota Mezoffanti, który tyle znał języków jak nikt przed nim i po nim, twierdził, że język baski jeszcze najpodobniejszy jest do mowy Koptów, a więc do staroegipskiego języka. Mój towarzysz zaś utrzymywał, że Baski w Hiszpanii to dawne Kartagińskie kolonie z nad morza w góry zapędzone, i widziałem, że chętnie byłby się zgodził na pokrewieństwo Olozabalów z Hannibalem lub Asdrubalami, język zaś baski kocha nad wszystkie, małe dzieci jego nie mówią inaczej tylko po basku. Ma być ten język bardzo poetyczny, ma mieć w sobie wiele mistycznych przenośni, nawet w nazwach najprostszych przedmiotów, księżyc n. p. nazywa się w potocznej mowie: „światło umarłych.“ Ludność baska ma swój typ odrębny, o ile zauważyć mogłem mężczyźni piękniejsi są od kobiet, chociaż trafiają się i kobiety z bardzo szlachetnymi rysami.

Skorośmy opuścili Guipuzcoę, perłę baskich prowincyj, i wyjechali znowu do Nawary, mój towarzysz już się czuł nie u siebie, jakby w obcym kraju, nic mu się tam już nie podobało, miałem w nim przykład najlepszy do jakiego stopnia rozwinięty jest w Hiszpanii partykularyzm pojedynczych krajów względem siebie, sympatye ich nie sięgają po za miedze sąsiadów, tylko za to w najwyższych pojęciach, w jedności

kultu, a jeszcze bardziej w poczuciu dumy narodowej, Hiszpanie są jednolitym narodem.

Przyznać jednak trzeba, że obywatel Guipuzcoy może nieco z góry spoglądać na sąsiednie królestwo Nawary, bo już sama natura upośledziła ten kraik w porównaniu z tamtym, grunt kamienisty, suchy, pustkowiem tchnący, nie dozwala tamże wyższej kulturze ziemi zapuścić korzeni, nawet krowy ani wołu nigdzie spotkać nie można; owce, kozy, osły i muły, to jedyne bydło, jakie ten kraj wyżywić może. To też i pozór jego bardzo nieszczęśliwy, wszystko wokoło koloru sepii, skały i pola, mury domów i dachy jakby jednym i tym samym przybrudzonym nieco pokostem powleczone, tylko kontury wszystkiego jako tako się odznaczają, dość że patrząc z góry *a vol d'oiseau* zwłaszcza na pochmurnym dniu na te okolice, zda się mieć przed sobą dużą mapę rozłożoną, jednym kolorem w różnych tonach malowaną, a nie świat Boży; nigdzie zieloności, zwłaszcza, że to była jesień... nie spotkałem dotąd tak bezdrzewnej ziemi. Nie cała jednak Nawara jest taka smutna, jak przy drodze do Estelli, bliżej Ebro są żyzniejsze i żywsze strony.

W miejscu, gdzieśmy przejeżdżali granicę, oddzielona jest Nawara od Guipuzcoy jakby olbrzymim murem na wysokim gór postumencie; jest to już taki charakter gór tamtejszych, że ciągną się w długich łańcuchach, a u szczytu mają jakby mury forteczne ze skał ręką tytanów zbudowane, tak równe, pionowe i horyzontalne, że tylko na nich stawiać armaty, zupełnie zdają się być tworem sztuki nie natury. Potrzeba było parę godzin nim zygzakowatą bardzo sztucznie prowadzoną szosą dojechaliśmy do takiego muru, przebity był tunelem, nowy więc otworzył nam się widok na drugą stronę, na tak zwaną dolinę *Amescoas*, i tu dopiero poznałem jaką to twierdzą umią być Pyreney. Amescoas istny to czworobok forteczny kolosalnych rozmiarów, zamknięty ze wszystkich stron wyż opisanemi murami olbrzymów. Wystarcza kilka kompanij żołnierzy mądrze rozstawionych, by to miejsce zrobić niezdobytem. Już za pierwszej siedmioletniej karlistowskiej wojny z Karlosem V, Amescoas było jednem z głównych punktów operacyjnych i wielką odgrywało rolę, były to Termopyle Karlistów, a i w początkach dzisiejszej wojny Don Karlos VII nieraz już w A-

mescoas miał silne dla siebie oparcie, nim zdołał zająć Estellę. Obecnie już pozycya ta nie jest przez Karlistów obsadzona, bo w około kraj oczyszczony jest z nieprzyjaciela, gdyby zaś tego było potrzeba, w jednej chwili Karliści gotowi są zamknąć się w Amescoas. Jużto w ogóle na całej przestrzeni kilkunastomilowej z Tolosy do Estelli podróżny, gdyby nie wiedział, nigdyby się nie domyślił, że jest gdzie jaka wojna niedaleko, nie widzieliśmy po drodze ani jednego żołnierza z bronią, wszędzie spokój zupełny i wszystko idzie zwyczajnym trybem, kraj zupełnej tam już używa swobody pod wyłącznem panowaniem Don Karlosa, bo nigdzie tam już nie ma w rękach Alfonsistów żadnej pozycyi, którąby groziła rabunkiem lub pożogą. Dopiero pod samą Estellą otoczenie znowu zaczyna wyglądać na dekoracyę teatru wojny, są forty po górach, usłyszeć można trąbki i sygnały i spotkać się z żołnierzem, chociaż nic nie zapowiada głównego aż obozu.

Stanęliśmy wreszcie na rynku w Estelli niedaleko domu, gdzie była kwatera Don Karlosa. Już się było dawno zciemniło, ale plac był dobrze oświecony i ruch na nim wielki. Dopiero tu miał się z kim mój towarzysz witać, ściskać, całować... zrobiła się zaraz koło niego ciżba oficerów i generalicyi, bo tam wszystko żyje na ulicy, a na tym placu koncentruje się życie. Don Tirso przedstawiał mię na wszystkie strony, szwagier jego Don Rodrigo Beles, młody kapitan od artyleryi, który go zaraz do siebie na mieszkanie zaprosił, zajął się tem, żeby i mnie jaką kwaterę wyszukać. Estella była przepełniona, bo małe stosunkowo miasto, liczące w zwykłych czasach około 8 tysięcy mieszkańców, dostąpiwszy nagle honoru rezydencyi królewskiej, zaledwie mogło pomieścić sztab główny z mnóstwem oficerów i wojska, a tu do tego jeszcze właśnie na parę dni przedtem zjechały się deputacye ze wszystkich baskich prowincyj z adresem do króla. Wszystkie *Fondy* były zajęte, to też po niejakim czasie Don Rodrigo powrócił z niczem, bo nigdzie w oberży dla mnie pokoju znaleźć nie mógł; był jednak tak grzeczny, że zaraz z młodszym bratem swoim rozpoczął po mieście poszukiwania, czy gdzie w prywatnym domu mieszkania dla mnie nająć nie będzie można. Jakoż w krótce wrócili obydwa z radosną dla mnie nowiną, że jest pokój u jakiejś pani, która nawet o dziwo! mówi po francuzku, bo

przed dwudziestoma laty mieszkała w Bayonnie. Poszliśmy tam zaraz wszyscy czterej, bo i Don Tirso poczuwał się do obowiązku, by mię osobiście zakwaterować. Na końcu jakiejś długiej a wązkiej ulicy, w dużym domu o trzech piętrach, zainstalowano mnie w obszernym pokoju z niszą i balkonem, miałem więc odrazu wszystko czego serce zapragnąć mogło w Estelli, zwłaszcza że z gospodynią, choć jej francuzczyzna bardzo już wywietrzała z głowy, a to co zostało hiszpańskiego nabrało odoru, przecie jako tako rozmówić się mogłem, a do tego obiecała mi, że nie wszystko będzie gotowała na oliwie.

Po wieczerzy gospodyni doradziła mi, żebym poszedł na wielki plac gdzie jest *Palacio* Don Karlosa, gdyż tam co wieczór między 9 a 10 godziną gra muzyka i cała wylega Estella, a i król tamże używa spaceru, będę go więc mógł zaraz zobaczyć. Nie dałem sobie tego dwa razy mówić i wyszedłem.

Muzyka grała już na placu przed wązkim a wysokim trzypiątrowym domem, którego wszystkie okna na rozcież były otwarte, a pokoje wewnątrz rzęsiście oświecone. Było to owe Palacio królewskie; pownie ten dom nigdy się nie spodziewał, że taki go kiedy zaszczyt spotka, bo wcale nie pałacowej był architektury. Na balkon co moment wychodziły słuchać muzyki jakieś wysokie figury w pięknych mundurach ciemnych ślniących od złota sznurów i gęstych gwiazd orderowych, czy między nimi był i Don Karlos dostrzedz nie mogłem. Plac cały malowniczy miał pozór, z trzech stron zabudowany gmachami, z których wiele piękniejszych jest od Palacia, a wszystkie mają występujące poddasza, arkadowe podcienia i mnóstwo balkonów, balkoników, werand, co zawsze nawet i mniej świetnym domom nadaje pewien szlachetny charakter dawno zamieszkałych siedzib. Czwartą stronę rynku vis a vis pałacu zajmuje katedra, niegdyś może ładna, gotycka, dziś okropną fasadą barocco zeszpecona. Wszystko to, choć noc była, dobrze widzieć mogłem, bo plac oświecony był prawie *a giorno* lampami powywieszanemi z balkonów, latarniami muzyki i światłem z okien bijącem. A dopieroż na dole co za ruch niesłychany! co za wrzawa! w podcieniach dokoła plac obiegających nawet przecisnąć się trudno, spacerują pod niemi tam i napowrót Estellanki po dwie po trzy razem, wszystkie prawie czarno ubrane, bo ta moda w Hiszpanii się nie zmienia,

i w czarnych długich mantiliach koronkowych od głowy na dół spadających. Szarmantują im oficerowie w ładnych mundurach ciemno-granatowych ze złotemi guzikami, długich butach po kolana i czerwonych, niebieskich, białych lub fioletowych baskich beretach na głowie t. z. *boynach*, których kolor różne rodzaje wojska oznacza. Oficerowie idąc dzwonią szablami, błyszczą im się guzy i ordery jak Estellankom oczy, i znać po nich, że wybornie ze sobą się bawią, nigdzie jednak nie widać skandalu, dokoła naturalna wesołość i śmiechy, a największe na placu samym, zapełnionym prostemi żołnierzami, którzy gdy tylko zagra muzyka cokolwiek na szybkie tempo raz, dwa, trzy, walca Straussa, czy jaki ustęp z opery, zaraz stają po dwóch naprzeciw siebie i tańczą bez końca ulubione *Fandango* z owym klasycznym hiszpańskim gestem rękoma, palcami niby kastanietami takt wybijając.

Pomiędzy to wszystko mianowicie pod arkadami podcieni przesuwają się gdzieniegdzie długie, czarne postacie księży w kapeluszach powszechnie znanych przez Don Basilia w *Barbiero di Seviglia.* Innej publiczności prócz wojskowych, księży i kobiet ubranych jak zakonnice, w Estelli nie ma wcale, surdutowych kolegów miałem na placu może dwóch, trzech najwięcej.

Co by to za zmora okropnego rodzaju była dla którego z wielkich dzisiejszych „rycerzy kultury“, gdyby tak we śnie czy na jawie znalazł się nagle wieczór na oświeconym rynku w Estelli, gdzie każdy żołnierz czy oficer ma na piersiach szkaplerz lub wyszyte Serce Jezusowe, kobiety ubrane jak mniszki, a pośród nich uwijający się księża w stroju Don Basilia naznaczonym przez ogół piętnem śmieszności i złości! z jakąż wzgardą i odrazą odwróciłby wzrok swój pełen „wyższej intelligencyi“ od tego tak na wskróś ultramontańskiego gniazda! jakiemże okropnem echem odbijałyby mu się o uszy śpiewy i śmiechy tańcujących żołnierzy, i Caballerów z Donnami wesołe rozmowy, porównał by to wszystko nazajutrz pewnie do szatańskiej orgii na łysej górze... w pierwszym lepszym żydowskim dzienniku. Mnie ten widok Estelli, miasta w tak wyjątkowem położeniu, z tak dziwnym w tych okolicznościach lokalnym kolorytem, widok w swoim rodzaju jedyny dziś w całym świecie, doprawdy rozmarzył; niechciałem oczom

wierzyć, że mię losy zagnały aż tu do samej rezydencyi tego „Błędnego Rycerza naszego wieku“ jakim jest Don Karlos, co z garstką ludzi wydał wojnę temu co się nazywa dziś duchem czasu. I najbujniejsza fantazya, otoczenia, siedziby jego wyobrazićby sobie nie mogła bardziej niezwykłą, malowniczą, żywszą, ruchliwszą, weselszą jak jest jej rzeczywistość jaskrawa i hałaśliwa pośród wieczornego światłocienia na Estellańskim rynku. Chwilami wszystko snem mi się zdawało... a to było goręcej niż zwykle pulsujące życie...

Już było po dziesiątej wieczór, muzyka grać przestała, a Don Karlos nie zeszedł na dół pokazać się ludowi, sądziłem więc że już niema co dłużej na to czekać i poszedłem spać, ...zły duch mi to doradził.

Słońce mię zbudziło nazajutrz rano, rzucając mi przez uchylone żaluzje garść jasnych promieni na oczy. Wyszedłem na balkon, cóż za prześliczny widok mię uderzył! okno nie wychodziło na ulicę, tylko na przeciwną stronę, gdzie już miasta prawie nie było. Pod samym prawie balkonem płynęła rzeka, której nie spamiętałem nazwiska, a za rzeką tuż blisko naprzeciw spiczaste skał szczyty, krzyż na najwyższym, na lewo wspaniała ruina jakiegoś ogromnego monasteru gotyckiego, na prawo dosyć obszerna nad rzeką równina z kasztanowemi aleami miejskiej promenady, a co temu widokowi dodało najwięcej uroku, to że po wczorajszym dniu pochmurnym znowu jasne zaświeciło słońce.

Wyszedłem na miasto, długa wązka ulica prowadząca do rynku bardzo mi przypomniała Fuentarabią, podobne domy, chociaż nie tak starożytne, z bardzo szerokiemi okapami, z których na środek ulicy wystające rynny robią ten efekt, jakby domy w górze sobie nawzajem ręce podawały, oczywiście mnóstwo balkonów i werand jak wszędzie w Hiszpanii, a ogromne herby nad bramą prawie każdej kamienicy. Była to niedziela; poszedłem więc na Mszą do katedry. Wnętrza kościołów hiszpańskich zupełnie różne są od francuzkich, ozdobami swemi barocco na gotyckich ostrołukach, złocistemi ołtarzami, statuami postrojonemi w suknie, firankami u obrazów i ławkami zamiast francuzkich krzeseł bardzo przypominają wewnątrz nasze polskie kościoły. Estellańska katedra nie ma nic osobliwszego, prócz wielkiego ołtarza z ładnemi propor-

cyami głównych linij, kolumn i staremi płaskorzeźbami w drzewie. Osobliwszym, niezwykłym jednak widokiem dla mieszkańca naszych niby cywilizowanych krajów było mnóstwo modlących się żołnierzy, którymi duży kościół przeważnie był zapełniony, a wszyscy od najwyższej do najniższej rangi klęczeli przez Mszę całą na podłodze, a i kobiety nie korzystają tam ze stojących ławek, tylko klęczą po kątach świątyni.

Po Mszy św. poszedłem do mieszkania Don Rodriga, by się zobaczyć z p. Olozabalem, niezastałem nikogo w domu, powiedziano mi że Don Tirso poszedł zapewne ze szwagrem swoim na mszę artylerzystów w kościele za miastem, do którego wskazano mi drogę. Podążyłem tam zaraz i zastałem kościół przepełniony artylerzystami, nigdzie jednak Don Tirsa dostrzedz nie mogłem. I tu znowu zbudowany byłem pobożnością żołnierzy i tym żywym udziałem jaki biorą w nabożeństwie, który pochodzić może tylko z długiej praktyki każdego od dzieciństwa i jest owocem prawdziwie katolickiego wychowania. Po Mszy uklękli nanowo wszyscy od prostych żołnierzów aż do jenerałów z piersią pełną orderów, i odmawiano dosyć długo wspólne modlitwy, litanije, psalmy po łacinie naprzemian z księdzem u ołtarza, była w tem także modlitwa za papieża i za króla.

Myślałem że na wychodnem napotkam p. Olozabala, kilku oficerów których już znałem od wczoraj i Don Rodrigo, którego odszukałem powiedzieli mi, iż go tu niema i że zapewne jest w mieście, gdzie też zaraz wróciłem. Na rynku i teraz zastałem wielkie życie, kilku męzkich i żeńskich kolporterów roznosiło świeżo z pod prasy wydany numer urzędowego dziennika wychodzącego w Estelli, krzycząc bez ustanku *Cuartel Real! buenas noticias!* były w nim bowiem wiadomości o niedawnych zwycięzkich potyczkach koło Oyarzun Choritoquieta i Santiagomendi. Przez środek placu od Palacia do bramy katedry zastałem gęsty szpaler żołnierzy, tłoczących się dzieci, i okolicznych mieszkańców Estelli, którzy na niedzielę pościągali się do miasta. Spotkałem tam także i jednego z Deputatów Guipuzcoy, z którym także Don Tirso wczoraj mię zapoznał. Mówił on nieźle po francuzku, zapytałem go więc coby ten szpaler miał znaczyć, odpowiedział, że król będzie zaraz tędy przechodził na Mszę do kościoła.

Ujrzałem go za chwilę, szedł ku nam pewnym krokiem naprzód, za nim w niejakiem oddaleniu trzech gwardzistów i kilku oficerów czy jenerałów. Trzeba było słyszeć te okrzyki uniesienia z jakiemi go witano, gdy przechodził szpalerem żołnierzy, wstrzymujących ciżbę. ten pisk dzieci wołających viva Carlos settimo! viva! el Rey! on sam przeszedł koło nas dość szybko, kłaniajęc się od czasu do czasu i pełne determinacyi a nawet nieco surowe rzucając do koła spojrzenia. W istocie majestatyczna to postać, tego mu i wróg największy odmówić nie może, o pół głowy wyższy od najwyższych, barczysty, pięknie zbudowany, elastyczne ma ruchy kwitnącej młodości, bo liczy zaledwie lat 28, nie dziwię się, że już fizycznością swoją wywiera wpływ magiczny na otoczenie,' Mundur zwykły, oficerski, ciemno granatowy, czerwona *boyna* na głowie z fantazyą na bakier spuszczona, na piersiach mnóstwo orderów, świecące botteforty na długich nogach, przy boku szabla po bruku dzwoniąca, oto strój jego. Gdy wchodził do katedry muzyka u bramy przyjęła go jakimś hymnem narodowym, głuszącym nieustające okrzyki. Niemogę powiedzieć, tylko że w pięknej chwili pokazał mi się Don Karlos po raz pierwszy, kiedy szedł otwarcie hołd oddać Bogu; każdej niedzieli odbywa się to, dla dobrego przykładu, tak ostentacyjnie. Miałem ochotę drugą bramą wejść za nim do kościoła, gdy w tej samej chwili zjawił się Don Tirso i zaledwie się przywitawszy zapytał mię:

— Czemu pan nie byłeś wczoraj tu na placu na muzyce?

— Owszem byłem, odszedłem dopiero po dziesiątej.

— To szkoda! bo w kwadrans później król zeszedł na dół na spacer, i chodził ze mną bardzo długo, powiedziałem mu już, że przyjechał ze mną *un Gallega* (tak nazywają Hiszpanie swoich Galicyanów), ale dodałem *un Gallega Polaco-Austriaco,* i że chce z nim mówić, gdybyśmy byli pana wczoraj spotkali, byłby Król niezawodnie zażądał, żeby mu go przedstawić i byłbyś pan mógł zaraz wczoraj z nim rozmawiać.

Widocznie wcale nie hiszpańska etykieta panuje na dworze Jego Król. Mości Don Karlosa, pomyślałem, jeśli tak łatwy do niego przystęp, w nocy, na miejskim bruku.

Don Tirso mówił dalej, że Don Karlos naznaczył mi już wczoraj audyencyą na dziś na 12 godzinę w południe.

Więc pójdziemy do niego?

O nie, bo dziś rano zdecydował się niespodzianie zrobić mały rekonesans pod Pampelunę w towarzystwie jen. Peruli i kilku tylko oficerów, powiedział mi więc, gdy go rano widziałem, że mu niepodobna pana dzisiaj przyjąć, bo zaraz po Mszy odjeżdża, musimy czekać aż wróci, to jest ja przynajmniej czekać muszę, a i panu nieradzę puszczać się z powrotem samemu, byłoby to nawet trochę niebezpieczne, zwłaszcza tam dalej przy granicy francuzkiej, lepiej więc niech pan na mnie zaczeka.

— A kiedyż wróci Don Karlos? zapytałem.

— Jutro, pojutrze najdalej, i tego samego dnia co wróci odjedziemy, i odstawię pana aż do samej Francyi, bo i mnie tamtędy droga. Przedtem jednak muszę jeszcze mówić z królem, a i dla pana szkoda by była, gdybyś będąc raz tu, z nim się nie widział.

Nie było się co długo namyślać, trzeba było pojść za radą p. Olozabala, bo i niechciałem być w Rzymie a Papieża nie widzieć, i w rzeczy samej, po tak udanej *Anabasis*, samotna *Katabasis* z Estelli do Francyi, dokąd miałem półtrzecia dnia drogi, w obcym kraju, bez znajomości języka, mogłaby była wypaść nawet fatalnie. Zdecydowałem się więc czekać na Don Karlosa, a bardziej jeszcze na Don Tirsa. Byłoby to czekanie dla mnia prawie więzieniem, zwłaszcza że z tego „jutro,“ „po jutrze“ zrobiło się pięć dni, gdybym ten czas był musiał przesiedzieć w Estelli. Dzięki jednak p. Olozabalowi przebyłem go we większej części w miejscu, zkąd najciekawsze z całej wycieczki mojej zostały mi wspomnienia. Don Tirso zawiózł mię do monasteru w Hirache pod Estellą, do głównej siedziby jednej z najpiękniejszych instytucyj karlistowskich, gdzie przez nową bardzo korzystną znajomość, najmilsze i najbradziej nauczające spędziłem chwile, bo wiele nowych a dokładnych mógłem o sprawie Don Karlosa i stosunkach hiszpańskich zasięgnąć wiadomości, zanim wreszcie i długa rozmowa z samym Don Karlosem ukoronowała dzieło.

(Dokończenie nastąpi).

Ign. Skrochowski.